



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
 We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
 rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
 Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
 rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi
 rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
 kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwar-
 talnie florenów 5 cent. 5.

W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie
 flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
 W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
 wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 97).

XII.

salonu już dochodziły głosy... Herman pierwszy przybył oznajmując przyjazd matki, ożywiony niezmiernie oczyma szukając panny Hanny zaledwie ją zobaczył... i spojrzeli na siebie, po mimowolnym pół uśmiechu, który przebiegł po jej ustach, domyślił się że została przestrzeżoną...

Spełniając przybraną rolę, Herman ze szczególną atencją przywiązał się do panny Hanny, która go wcale nie unikała... Mógł więc dłuższą zawiązać rozmowę i błysnąć przed nią dowcipem ironicznym, na którym mu nigdy nie zbywało.

Charakter Hanny poważniejszy — ukazywał jej świat ze strony innej, ona szukała w nim niepokojnie prawdy... piękna, dobra. — Herman jakby zrozpaczywszy o znalezieniu ich bawił się podrzucaniem szyderskim tego wszystkiego co było fałszem, brzydota i złem... Z temi sprzecznymi usposobieniami, może nie tak trudno było się porozumieć jak się zdawać może. Jest w człowieku pragnienie uzupełnienia swych pojęć, poszukiwaniem trybów i kategorii przeciwnych, których samby dojrzeć nie mógł. Często sprzeczne zupełnie charaktery godzą się najdziwniej, gdy podobne nie mogą podzielać na siebie, bo

się od razu poznają, czują i jednoczą... Jak w przyrodzie z przeciwnych prądów powstają jęły złożone, tak w duchowym porządku... antytezy często rodzą sympatyę...

Dla tego może sceptyczny, żartobliwy, szukający skaz i plam Herman nie tak raził Hannę jak się lękała, dla tego surowa jej powaga i umysł dążący ku ideałom nowe dlań odkrywając światy — zachwycał go i był dlań pożądaną wonią niebieską.

Hanna w rozmowie z Hermanem odzyskała dawno stracony uśmiech, a on chwilami zmuszony był przejść z szyderstwa do zastanowienia nad fenomenami, których oko jego nigdy dotąd nie dostrzegło...

Z wielkiem podziwieniem a nie mniejszą radością, dostrzegł pan Aleksander, zauważała starościna tę ożywioną rozmowę, w której Hanna brała udział chętniejszy niż zwyczajnie. Jedna Lelia mimo spokoju i wiary jaką miała w przyjaciółkę, dla brata była zazdrosną.

Herman nie odszedł prawie od panny Hanny na chwilę tylko oderwał go przybycie matki w niespodziewanym trochę towarzystwie Lubicza, który z kąd się wziął i jak doszedł do tego że hrabinę na salę wprowadził i z nią przybył synowi było nie wytłómaczonem.

Matka mu szepnęła tylko że na chwilę przed wyjazdem z domu przybył Lubicz, a że i on miał zamiar się tu znajdować, zabrała go z sobą.

Wszystkich po troszę uderzyło to kompromitujące przybycie w parze hrabinę i Lubicza.

Młodzieniec zdawał się w wyborynym humorze i głośniejszy niż kiedykolwiek ratował zagrożoną społeczność, gnębiąc z fotelu rewolucjonistów cytatami de Maistra.

Herman namarszczył nieco brew lecz wkrótce do zwykłej swęj ironicznej wesołości powrócił...

Gdy w przejściu na herbatę Lelia mogła się zbliżyć do Hanny — szepnęła jej cicho: lękam się tylko byście państwo nadto nie wchodzili w swo-

ją rolę, gracie ją zbyt dobrze. Hanna śmiała się ścisnąc jej rękę. — Muszę wyznać rzekła że Herman nie darmo jest Ramultem, ma wiele tego co ja w was kocham.

— Duszko, w nim tylko tego nie kochaj...

Pozartowawszy tak rozdzielone znowu zostały, a pan Aleksander wynalazł sposób zbliżenia się do narzeczonej, i ścisnął nieznacznie jej rękę. — Jesteś pani zachwycającą dzisiaj!...

Strategiczne obroty Olesia dla uzyskania przy herbacie miejsca przy Lelii, nie uszły baczności Dołęgi który hrabinę i starościne conceptami zabawiał. Na wieczorach miał sobie zawsze za obowiązek starszym paniom służyć — przez które wiele mógł uzyskać. Nie przeszkadzało mu to widzieć i słyszeć wszystko.

Gdy wstali od herbaty i szli na cygaro do gabinetu zbliżył się do Olesia.

— Słuchaj Olku w ucho mu wrzucił — ale ty formalnie cholewki smalisz do wdówki... Mię się na ostrożności ona cię złapie — a jak się w jej ręce dostaniesz, bywaj zdrowa swobodo!

— Już mnie złapała — rzekł Oles żartując ni by — niema na to ratunku... Coście pletli o Lubiezu, wierutna bajka... temu się nie śniło, a ona go mało co zna, Lubicz gorzej bo pono Hermanowi figla zrobić myśli...

— A ty pannie Hannie? rozśmiał się Dołęga.

— Hanna by mi tego za złe nie miała — odparł Oles — ale — bzdurstwa to są!

Jeszcze szczerzej do ucha się przykleił Dołęga panu Aleksandrowi. — Ty jesteś bałamut... ja na moje oczy widziałem jakę ją pod stołem za rękę ścisłał? Cóż to ma znaczyć?

Panu Aleksandrowi krew uderzyła do głowy... dobra sława wdowy obchodziła go teraz jak jego własna... Rozgniewał się na prawdę.

— Milezże, zawołał jestem zaręczony!

Dołęga odskoczył... Pierwszy raz w życiu trafiło mu się tak być nieswiadomym rzeczy — upo-

korzony czuł się i gniewny... Co ty mi pleciesz! zawołał... to nie może być.

— Słowo honoru—rzekł pan Aleksander, ale milczeć proszę—bo o tém nikt nie wie i wiedzieć nie powinien...

Nie było już odpowiedzi, Dołęga począł miny robić zdziwione, węża kręcić i podśpiewywać...

W ogóle był to wieczór w którym wiele niedorzecznych rzeczy się stało... i nazajutrz miano o czém mówić w miasteczku...

Hrabina wkrótce po herbacie ruszyła się z kanapy, prosząc Lubicza aby jęj podał rękę, syn bowiem z panną Hanną był w drugiej sali. Zauważono że Lubicz chwycił za kapelusze i już więcej nie wrócił, a ktoś przyniósł Dołędze wiadomość z dołu, że go hrabina z sobą zabrała.

— To nie bez kozery! rzekł w duchu Dołęga! Śliczne się marjasze gotują! Oleś z tym trzpiotem który go weźmie pod pantofel, a Lubicz ze starą hrabiną... czyby mnie nie wypadło chyba o starość się starać?...

I rozśmiał się sam do siebie.

— Skończenie świata.

XIII.

Nazajutrz nie mógł wytrzymać Dołęga ażeby nie pójść na zwiady po mieście—oburzony był tém iż się działy rzeczy o których on nie wiedział. Zagrażało jego dobrej sławie, odbierano mu chleb, bo cóżby robił, z czémby po domach chodził, jakby się weisnął gdzie mu potrzeba potrafił, gdyby nie miał koszyczka nowin i skandalików na plecach.

Zareczyły potajemnie pana Aleksandra nie dziwiły go tak bardzo... oddawna bowiem przyznawał się do słabości dla wdowy—ale Lubicz co znaczyło to kompromitowanie się staręj hrabinę... Dołęga nazajutrz rano wiedział już że pojechał w karecie z nią do jęj domu, że tam ją odprowadził do salonu, i że około trzech kwadransów bawił jeszcze...

Niespokojny spotkawszy Paprzycę wyspał mu na ucho całą wczorajszą historię hrabinę, będąc pewny że go niezmiernie zadziwi. Paprzyca ani drgnął, silnie tylko bardzo ścisnął mu rękę i rzekł.

— Cicho! cicho!... jesteś więc nie wtajemniczony! Mój Boże to są rzeczy ułożone! Prałat miał polecenie hrabinę przygotować... Na tego Hermana rachować nie można. Proszę cię wychowany w najlepszym instytucie u księży Jezuitów, matka taka dobra katoliczka, a to seepczyk! Bóg wie co! Lepiej niech choć część fortuny idzie w ręce człowieka którego my jesteśmy pewni. Myśmy go postanowili z nią ożenić... *Lubicz est raisonnable* nie sięga wyżej niż powinien. Kobieta nie młoda, ale bardzo przyjemna, fortuna znaczna... koligacja piękna... wchodzi w świat nasz przez to małżeństwo...

— A! a! a! zawołał Dołęga—więc się już oświadczył?

— Wczoraj—ale to jeszcze do jakiegoś czasu sekret... Hrabina w nim rozmiłowana do szaleństwa... prawdę rzekłszy, w starym piecu dyabeł palił, niechże się przy tym ogniu pieczeń pocziwa upieczą... Trzeba umieć ze wszystkiego skorzystać...

— Mówiono mi—dodał Paprzyca, że coś tam Herman bardzo do Junoszanki się wczoraj przysiadł.

— Bardzo...

— Żal by jęj było dla niego... ale tam wpływy są trudne... ojciec żołądek—tylko... starości na słaba kobieta, a Hanna fantastyczna... Trzeba jednak będzie coś na to radzić... aby... Nie dokończył i odszedł.

Sylwan wiedział nazajutrz przez siostrę o wie-

czorze.. do Hermana pytać o to iść nie chciał, Lelia opowiedziała mu i swoje z Hanną spotkanie—i to co słyszeć lub dojrzyć potrafiła. Jęj, mimo przywiązania do Hanny, zdawało się to trochę niebezpieczną próbą.

Sylwan się uśmiechnął,

— Nikt jęj pewnie mocniej nie kocha nade mnie, dodała siostra—ani mocniej w nią wierzy, ale—doprawdy trwoga mnie brała widząc jak w końcu wieczora byli z sobą poufale, jak rozmowa ich zajmowała tak że w koło nie słyszeli nikogo... Hanna, czegom nigdy od dawna nie widziała—śmiała się—Herman spoważniał.

— A to dobrze że się rozerwała! spokojnie odezwał się Sylwan... zmiłuj się—nie trwóż! gdyby Hanna miała być tak wrażliwą i zmienną nie byłaby tą Hanną którą ja kocham...

Śmiejąc się dokończył rozmowy Sylwan, a że tego dnia miał wiele do czynienia w domu, oczekiwał na Hermana u siebie, sądząc że mu przyjdzie coś o tym wieczorze powiedzieć. Herman nie przyszedł.

Wieczorem przysłała Viola prosić Sylwana. Tego dnia teatru nie było, przedstawienie Romea zbliżało się, Szerszeń z wielką powagą opowiadał iż chciała się go jeszcze o rolę poradzić! Sylwan zawahał się nieco, poszedł...

Zastał ją w istocie przy lampce nad książką i całą na pozór zatopioną w niej, nie wiedząc o tém że dopiero kroki jego posłyszawszy na wschodach, zajęła to miejsce i przybrała postawę. Biednemu dziewczęciu zatekniło się... płakała, walczyła i posyłała Szerszenia. Chciała go widzieć choć chwilę—choć głos jego posłyszć. Zmieszana kłamstwem które sama sobie wyrzucała, wstała od stolika na powitanie tego który jęj nie kochał, który kochać jęj nie mógł—a którego ona przestać kochać nie umiała.

— Co pan sobie myślisz o mnie odezwała się eicho—ja tak niegodziwie jestem natrętna... ja pana ścigam swoim zaufaniem... ale—doprawdy, chciałabym być Julieta o jakiej marzył Szekspir... a nie umiem.

Sylwan siadł z daleka—smutnym był jakoś.

— Może ta rola jest dla pani przedwczesną, rzekł wolna—niepodobna odgadnąć mamiętności, która wianem będzie prawdziwą, tak jak jest odmalowaną w tragedyi—oprócz tego silnie nacechowaną jest naiwnością i kolorytem wieku... Tak dziś już się kochają tylko ci co w społeczeństwie XIX wieku, jeszcze obyczajem, sercem, pojęciami przedstawiają wiek XVI...

Viola słuchała...

— Więc serca i miłość starzeją? spytała... i gdyby to była prawda co pan mówisz w jakim XXII wieku... jużby się wcale kochać nie umiano?

— Nie, droga pani—rzekł Sylwan, ale miłość wyrażałaby się—któż wie? formułą algebraiczną lub frazesem z telegrafu...

Rozśmiała się Viola...

— Ja tam tego tak głęboko nie pojmuję—rzekła—teraz wszyscy potępiają uczucie... wiele to podobno rozumu i rachunku—lecz powiedz mi pan, czy życie ludzkie wartoby było co bez uczucia.

Tak rozpoczęta rozmowa zwróciła się do prostych rzeczy... Pawłowa przysła suknie Julii pokazać, Paweł wnięszął się do rozmowy także.

— Nasza panienska—rzekł, frasuje się moiści dobrodzieju, jak zagra Julię... a możesz ona ją zagrać dobrze, mając przeciw siebie takiego bałwana jak ten Romeo, którego zawsze anyżówką czuę...

Pawłowa swoim zwyczajem poczęła męża strofować i chciała powstrzymać gadanie, Szer-

szęń może z większą niż jęj się zdawało przenikliwością, usiłował zostać w pokoju, nie dając się bardzo rozgadywać sam na sam Violi z panem Sylwanem... Małżeństwo klóćąc się z sobą wysunęło się do pierwszego pokoju, gdzie pan Paweł dwie ściśnięte dłonie nastawując naprzeciw twarzy swęj małżonki odezwał się głosem stłumionym...

— Że też ty, stara jakaś, nigdy rozumu mieć nie będziesz! Jakże ty nie pojmujesz, że kiedy ona mnie po niego posyła, toć nie mogę nie iść, — a ich zostawić we cztery oczy, nie potém... Ona w nim rozmiłowana... on o tém ani myśli... Nietrzeba dopuszczać żeby się przed nim jeszcze kiedy wypowiedała... bo dyabeł nie spi, jak powiada nasz mistrz...

— Daj ty mi pokój z mistrzem i ze swoim rozumem ofuknęła Pawłowa... dziecko tyle ma pociechy co się z nim rozmówi, a ty jęj i to mięszasz swoim paplaniem.

— Już ty mnie nie ucz, ja wiem co robię—zawołał Szerszeń... a kiedy o teatrze gadają... to ja też o nim coś wiem, i słowo, moiści dobrodzieju, niewiasto uposledzona mogę dorzucić.

Trwając w swoim uporze Szerszeń z okularami rękopismem i książką powrócił do pierwszego pokoju—gdzie mu może Viola nie bardzo była rada. Tu dokumenta złożywszy na stole pod sąd pana Sylwana poddał kwestyę ważną...

— Proszę pana to są osły! zawołał—oni nieśmiertelnego mistrza śmieją poprawiać i obcinać bo im się to wydaje długie! Oni! oni! długości medrcowie. Najpiękniejsze moiści dobrodzieju ustępy oberżnęli i jakże ta sztuka ma być dobrą...

Szerszeń zaczął książkę porównywać z rękopismem... i tak się rozciągnął z dowodzeniami o głupocie układaczy dla sceny, iż dziesiąta wybiła, a Viola z Sylwanem oprócz pierwszych słów i rozmowy oczami, więcej mówić nie miała zręczności, Szerszeń się odpędzić nie dawał.

Jednakże ten wieczór usposobił Violę, nakarmił i zapewniwszy się, że on ją będzie widzieć w Julicie, pożegnała go odprowadzając do drzwi,—A we drzwiach jak o jałmużnę prosząc wyciągnęła rękę do niego—i szepnęła—przyjdź pan kiedy—nie proszony!

Upłynęło dni kilka na pozór żadnej zmiany nie przynosząc z sobą.—Sylwan siedział w domu... Lelia codziennie go odwiedzała. Od nięj się dowiedział, że w tym krótkim przeciągu czasu Herman był trzy razy u Junosów, i że w mieście zaczynało mówić o tych odwiedzinach...

— Hanna mnie dziwi—dodała Lelia—najczulęj dopytuje się o ciebie—a doprawdy nadto się poprzyjaźniła z Hermanem.

— O cóż znowu! zaśmiał się Sylwan—mnie więcej dziwi, że nie przyszedł ani razu do mnie, ale ja dziś u niego być muszę.

Jakoż wieczorem skończywszy roboty, poszedł w godzinie w której prawie pewnym był go zastać. Herman zamysłony palił w fotelu cygaro, na widok brata poskoczył żywo bardzo, go uściskać.

— No—spowiadaj że mi się—spytał wesoło Sylwan. Słyszę zewsząd, że ci się wiedzieświećnie...

Zmieszany nieco Herman począł się śmiać.—Widzisz mnie zakłopotanym... nie dziwuj się... mam wielką przykrość i dla tego nie byłem nawet u ciebie—mam zmartwienie...

— No i cóż to takiego?

— Bratu nawet wahałbym się powiedzieć, lecz to długo nie będzie tajemnicą. Moja matka wychodzi za mąż. Jest to gorzej niż omył-

ka—bo śmieszność. Widzieć tego kogo się kocha okrytym nią—boli...

— Jakto? za kogo?

— Nie pytaj! jest to człowiek mało co starszy od nas. który mogłby być jej synem...

Herman padł w fotel.—Miarkujesz, dodał, że ja nie mogę słowa powiedzieć matce... a serce mi się kraje... Temu zaś niekzemu człowiekowi, który dla chleba popełnia podłość, udaje przywiązanie, gra miłość... choćbym policzki otrzepał, co to pomoże? obetrze je chustką i zacytuje co z pisma świętego.. a matka mnie wyklnie...

Rozmowa raz na ten przedmiot bolesny zwrócona, już nie mogła przejść na opowiadanie o Hanni i wieczorach starościńej. Herman tylko dodał w końcu.—Wiesz bracie, całą moją pociechę tę parę godzin, które czasem spędzić mogę w towarzystwie panny Hanny.—Zazdroszczę ci jej serca—oprócz niewieściego wdzięku, ma tyle umysłowej wyższości, tyle idealności w sobie.

— Nie zbyt się jednak unos nad nią—przerwał Sylwan!

— Ty najlepiej to czujesz—rzekł Herman, iż zbliżyć się do panny Hanny a nie ocenić jej, mógłby chyba—gluchoniemy a ślepy...

Nie mówili więcej, Herman wrócił do domowego nieszczęścia, można je bowiem było nazwać tēm imieniem—narzekał na ludzi którzy potajemnie pomogli do skojarzenia tego poczwarnego związku.

— Czyż niepodobna niczēm temu zapobiedz odezwał się Sylwan.

— Ale jak? dziś rzeczy stoją na tym stopniu, iż matce bym zaszkoził i naraził ją sobie—a nic nie zrobił... Dziwi mnie tylko—dodał iż Lubicz się nie obawia być moim ojezmem, bo może być pewnym, *que je lui ferai la vie dure*.

Począł potem rozpytywać Sylwana co on robił... i czy widział Violę... Ten zbył go niewyraźnym omówieniem...

— To dziwna rzecz—rzekł po chwili—wiedziałem ją znowu w teatrze, parę dni temu i znalazłem bardzo zmienioną... Schudła—zbladła... Kaszlała nawet na scenie—a—czego sobie wytlōmaczyć nie umiem—wydała mi się... pospolitszą... Ruchy miała mniej wdzięczne... Zawsze w niej jest urok ten który wywiera smutek, zachwycającą jest i teraz... ale inną... (d. c. n.)

OBRĄZ

Wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Dokonczenie. (Ob. Nr. 97).

ROZDZIAŁ XI.

SZKOŁY SPECYALNE—INSTYTUT TECHNOLOGICZNY W BOSTONIE—SZKOŁA ROLNICZA W PENSYLWANII.

Wychodźcy angielscy osiedlający się w Stanach Zjednoczonych przynieśli ze sobą wyobrażenia i urzędzenia kraju macierzystego. Że zaś w Anglii pod koniec wieku XVI i XVII urzędzenia szkolne i zakres nauk wykładanych po szkołach były zwrócone ku humanizmowi więc też i w szkołach amerykańskich uczono po troszę łaciny, greckiego, początków arytmetyki i geometrii. Trzeba jednak oddać słuszną Anglikom i Amerykanom, że już w drugiej połowie XVIII wieku zrozumieli potrzebę szkół specjalnych co na lądzie europejskim zaledwie na początku bieżącego wieku znalazło naśladowców. Szkoły specjalne w Unii, albo stanowią wydziały uni-

wersytetów, albo istnieją same w sobie. Szkół specjalnych jest w Stanach Zjednoczonych kilkadziesiąt, osobliwie teraz powstają liczne akademie rolnicze, których jest już przeszło 30. Opiszemy tu tylko instytut technologiczny w Bostonie i szkołę rolniczą w Pensylwanii.

Przy uniwersytecie Harwarda w Bostonie, otworzono w r. 1727 stałe katedry matematyki i filozofii naturalnej; w roku 1783 zaprowadzono katedrę chemii i laboratorium chemiczne. W r. 1807 obywatele Bostonu kupili ziemię na ogród botaniczny, za pomocą składek zebrano 150,000 franków na katedrę historii naturalnej. W roku 1816 z zapisu Thompsona Woburn (hr. Rumfords) otworzono katedrę nauk stosowanych do sztuk. Obserwatorium astronomiczne zaczęto budować w r. 1839; a w r. 1849 Edward Phillips ofiarował dlań 500,000 fr. Katedrę mineralogii i geologii zaprowadzono w 1820 r. Dopiero w r. 1846 zbudowano osobny gmach dla instytutu, który nadto z darów obu Lawrence'ów, otrzymał 750,000 fr. na katedrę inżynierii cywilnej i geologii. Późniejszymi czasy z hojnych zapisów rozmaitych dobroczyńców powstało muzeum zoologii porównawczej oraz inne katedry nauk doświadczalnych.

Zadaniem instytutu technologicznego jest kształcenie inżynierów, chemików, budowniczych i t. p. W instytucie odbywają się wykłady wieczorne dla osób płci obojga. Kurs nauk dla młodzieży trwa lat cztery. Przez pierwsze dwa lata wykłady są wspólne dla wszystkich studentów. Wykładają się: algebra, geometria, rysunek maszyn, geometria opisowa, mechanika, chemia, astronomia, miernictwo, medycyna doświadczalna, języki: angielski, francuzki i niemiecki.

W drugich dwóch latach przedmioty wykładów są różne podług zawodu do jakiego się student ci sposobią. Po skończonym kursie i złożeniu egzaminu, studenci otrzymują dyplomy i stopnie odpowiednio do wydziału w jakim się sposobili.

Ważniejszymi może niż teoretyczne wykłady są laboratoria instytutu, w których studenci mają wszelkie ułatwienia do wykonywania doświadczeń. Ćwiczą się w miernictwie, geodozyi, astronomii żeglarskiej, robią wycieczki do pobliskich miejsc dla obznajmienia się z budową maszyn, sposobami fabrykacyi, pracami inżynierskimi, kopalniami, młynami, piecami hutniczymi i t. p. Co godnego jest uwagi, to to, że nawet w specjalnych zakładach gdzie górują nauki ścisłe, nie zapomniano o językach starożytnych i nowożytnych, o literaturze, historii, filozofii i prawie konstytucyjnym.

Szkoła rolnicza w Pensylwanii powstała ze sprzedaży gruntów wyznaczonych dla tej prowincyi przez kongres. Znajduje się w niej 5 wydziałów: literacki, nauk, rolnictwa, inżynierii cywilnej i mechaniki. Z tego widzimy, że programat naukowy takiej szkoły, różni się od programatu uniwersyteckiego jedynie przez dodanie sekeyi rolniczej. Toż samo spotykamy i w innych szkołach rolniczych. Nadto szkoły rolnicze mają swoją termę na której się studenci zaprawiają do praktycznego gospodarstwa, przyglądają się rozmaitym doświadczeniom rolniczym, hodowli owiec i t. p. Każdy student powinien spostrzeżenia zebrane przy doświadczeniu spisać i poddać egzaminowi profesorów. Przy wielu szkołach rolniczych, jak i pensylwańskiej znajdują się warsztaty w których mniej zamożni studenci mogą zapracować na utrzymanie. Oprócz tego wydział artylleryjski podarował szkole wojskowe przybory i studenci w ciągu czteroletniego kursu ćwiczą się w sztuce wojennej z wyjąt-

kiem tych, co należą do pewnych sekt religijnych i przez skrupuły sumienia nie chcą się broni dotykać. Ćwiczenia wojskowe są zaprowadzone i w innych uniwersytetach.

Pogląd ogólny. Z powyższego opisu czytelnik nabrął chociaż przybliżonego wyobrażenia o wychowaniu publicznem w potężnej rzeczywospolitej północnej Ameryki. Teraz przypomniemy po krótkce główne punkta dołączając uwagi ogólne.

Fundusz edukacyjny składa się z ziemi wyznaczonej przez kongres, z podatków jakie prowincye same na siebie nakładają i z olbrzymich darów prywatnych. Dzieci zaczynają się uczyć od roku piątego, a kończą wychowanie w 18-m lub 20-tym, poczem ci których stać na to, przechodzą do uniwersytetów i szkół specjalnych. Nie ma różnicy w zakresie nauk dla chłopców i dziewcząt, a w wielu miejscach młodzież płci obojga uczy się razem. Na utrzymanie edukacyi obraca się mniej więcej 450 milionów franków: rocznie; nauczycieli i nauczycielek można liczyć 350,000, a osób czuwających nad wychowaniem jako zarządzający lub kontrollujący około 500,000.

Wychowanie publiczne wszędzie jest sprawą gminy; konstytucya wkłada na nią obowiązek zaprowadzenia tylu szkół ile potrzeba, ażeby wszystkie dzieci w odpowiednim wieku mogły znaleźć pomieszczenie. Rząd centralny może zmusić gminę do tego, a rodzice nieprzyjętego dziecka mają prawo domagać się zwrotu kosztów. Wychowanie jest bezpłatne (z wyjątkiem uniwersytetów) i jakeśmy widzieli przymusowe w niektórych prowincjach prawem jest określone. Tak np. w prowincyi Massachusetts rodzice za opieszalność płacą po 100 fr. kary. Programat nauk tak są ułożone, by dzieci w potrzebie mogły poprzestać na odebranę nauce w zakładach niższych i średnich; lub też słuchać wykładów w szkołach najwyższych. Na zakłady naukowe nie żałuje się pieniędzy, a o zdrowie wychowanców ma się baczenie jak zapewne nigdzie w Europie. Dość pomysleć, że samo miasto New-York wydaje na szkoły 18 milionów franków. Prowincya Ohio podczas pięcioletniej ostatniej wojny wydała na szkoły publiczne 60 milionów fr. a 6 milionów na uniwersytety.

Prowincya ta liczy obecnie 13,000 szkół. Chociaż Amerykanie starają się usuwać od szkoły wszelki wpływ sekciarski (lubo praktyki religijne nie są wyłączone z zakładów naukowych) jednakże obecnie rozpoczęła się walka, gdyż katolicy są przeciw wychowaniu przymusowemu; katolików zaś liczą w Unii przeszło 7 milionów dusz na 37 milionów całej ludności. Jezuici mają kwitnące zakłady naukowe w New-Yorku, Baltimore, Waszyngtonie, Cincinnati, St. Louis, Nowym Orleanie i Mobile. Zawiązała się więc walka między szkołami rządowymi gdzie przyjmują dzieci wszelkich wyznań a szkołami prywatnymi tego lub innego wyznania.

Amerykanie przywiązują wielką wagę do wychowania uważając je za jeden z najpewniejszych środków pomysłności publicznej. Nie żałują też na ten cel olbrzymich sum, w czēm prywatni współzawodniczą ze sobą. Jak nowe miasta tak nowe szkoły wyrastają prawie cudownie. Sądzą niektórzy nieznający Ameryki północnej że chociaż edukacya może tam być bardziej rozpowszechniona niż w Europie, ale nie jest tak wysoka, że nauka nie ma tylu świetnych przedstawicieli co w Europie. Jestto złudzenie; mają Amerykanie swoich uczonych weale nie ustępujących europejskim. Oprócz edukacyi szkolnej wszędzie się urządzają meetingi, konferencye,

odezły publiczne, na których nie o fraszkach dla zabicia czasu, ale o najważniejszych sprawach uczeni rozprawiają. Zamiłowanie do czytania jest nadzwyczaj rozwinięte, dzienników krocie, bibliotek mnóstwo, nauka rozlewa się na wszystkie warstwy. Oświata zatę i ogląda dosięgają wielkich mass narodu i myślą się bardzo ci, którzy czytając stronne opisy niektórych dzienników, wyobrażają sobie mieszkańców Unii jako wcielonych łotrów, spekulantów, czcicieli dollara bez wiary i moralności. Przeciwnie, ogląda towarzyska i to co się w Europie nazywa dobrą manierą jest tam powszechniejsze niż w wielu krajach europejskich. Zdarzające się wybryki swawoli wcale nie są tak straszne jak

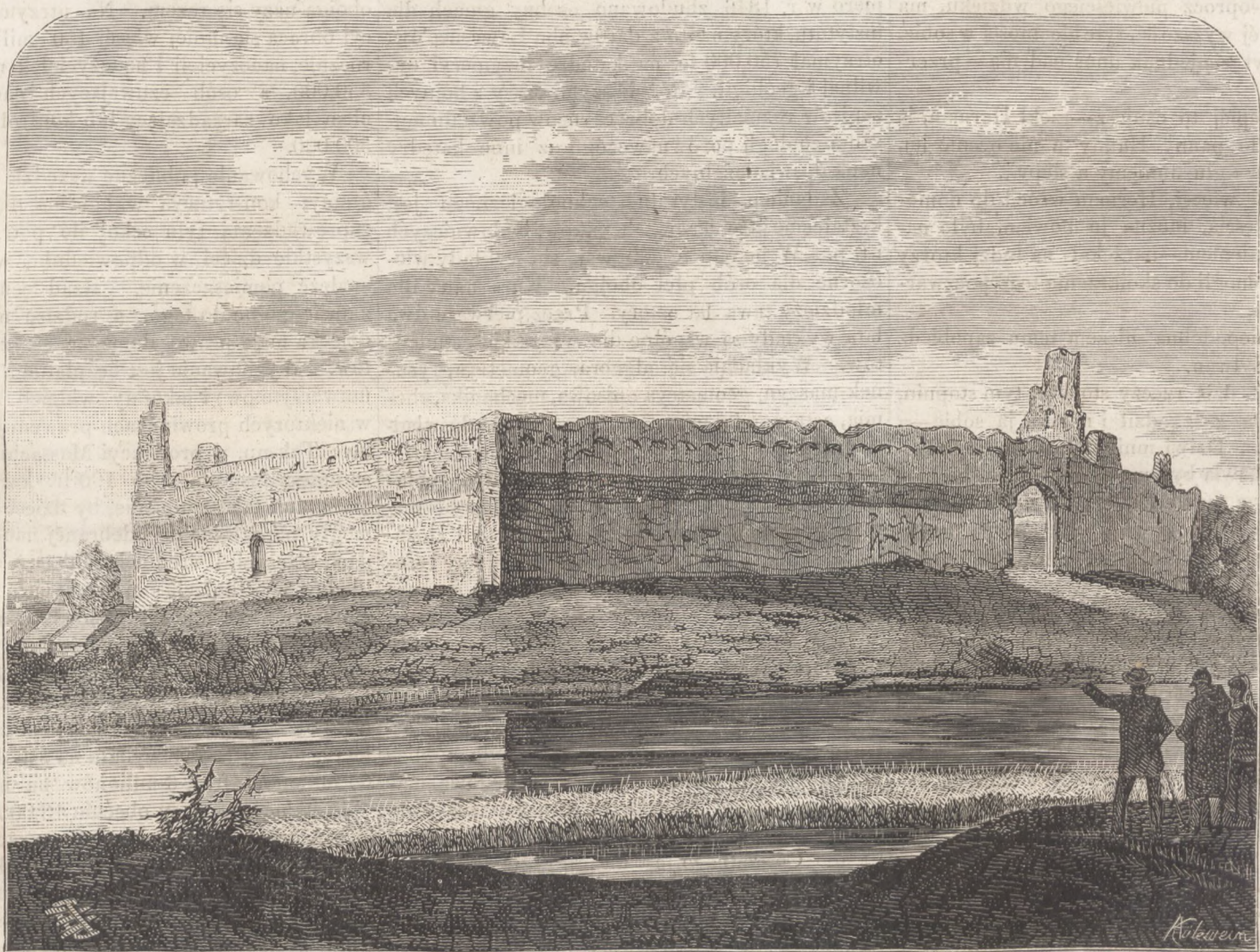
profesorów, wychowawcami. Pomoce naukowe, laboratoria, gabinety, muzea, fermy są bagatele a wstęp do nich ułatwiony, teoria naukowa wszędzie połączona z praktyką.

TANIE KUCHNIE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 97).

Do rzędu przytoczonych powszechnych kuchni, należy również z natury swojej i *tania kuchnia*. Podstawy jej muszą przeto być te same co i wszystkich innych kuchni powszechnych, z tą jednak różnicą, iż ten przymiotnik *tania*,

nie przez organizm strat. Jedzenie, ograniczone tym sposobem do najprościejszych najistotniejszych i zasadniczych podstaw swoich, pozbawione wszelkich innych ubocznych i więcej indywidualnych przymiotów, mogących pomnożyć koszt jego przygotowania, stanowi tedy podstawę taniej kuchni, zmuszonej tę samą prostotą, z pominięciem wszelkiej ozdoby lub wybredności, prócz niezbędnej czystości i schludności, zachować i przy jego podaniu. Ztąd wynika, że tania kuchnia jest przeznaczoną dla tych tylko, których zarobek dzienny nie wystarcza do dogodzenia, pod względem jadła, wszelkim wżwym wymienionym indywidualnym potrzebom, albo którzy ich nie czują, i dla których tylko zachowa-



RUINY ZAMKU LIDZKIEGO. Rysował Dmochowski.

je malują pewni korespondenci; Amerykanie wiedzą o tém i nie chcieliby się mieniać na zachwalany ład i porządek europejski.

Każdego kto choć powierzchownie zna Stany Zjednoczone, musi uderzać ta niewyczerpana energia i inicjatywa obywateli. Nie oglądają się ani na rząd, nie czekają od niego lekarstwa na wszystkie choroby, ale jak w innych sprawach tak i w edukacyjnej sami mówią o sobie. W wyrobieniu zaś tej energii i inicjatywy nie mały mają udział uniwersytety i szkoły specjalne. Pod tym względem różnica między edukacją europejską i amerykańską, jest może najwybitniejsza. W Ameryce w ciągu całego kursu nauk studenci uniwersytetu nie są tylko *sluchaczami*, ale samodzielnie pracującymi pod okiem

wprowadza pewne ograniczenia co do tych podstaw i nadaje przez to całej kuchni odrębny społeczny charakter. Pokazuje bowiem, że przymiotem, na który się tutaj największy kładzie nacisk, jest właśnie społeczny jój charakter, t. j. cena, czyli przystępność. A że nizkość ceny da się tylko tem osiągnąć, że się głównemu celowi poświęca wszystkie podrzędniejsze *indywidualną* tylko mające wartość, więc oczywiście *tania kuchnia* ma to znaczenie, iż po *możliwie najniższej* cenie dostarcza jedzenie, pod względem doboru *zdrowe*, pod względem przyrządzenia *smaczne*, o tyle aby niebudziło wstrętu, lecz przeciwnie chęć do jedzenia, a pod względem ilości *dostateczne*, t. j. wystarczające do zadosyćczynienia potrzebie wynagrodzenia ponoszonych zwyczaj-

wanie życia, i o ile możności produkcyjnych sił, jedyną przedstawia się koniecznością.

W obecnym ustroju naszych społeczeństw, ta klasa ludu jest na nieszczęście nader liczną i ona przedstawia głównie ten żywiół społeczny, bez którego trzeźwego, pilnego i nateżonego współdziałania, żadna produkcja, a przeto i żaden rozwój kulturowy nie byłby możliwym. Jest tysiące fizycznych prac, w których ręka ludzka dotąd jeszcze nie może być zastąpiona maszyną, a nawet i tam, gdzie maszyna jest czynną, bez współdziałania ręki ludzkiej żadną miarą obejść się nie można. Klasa robotników i wyrobników, żyjących literalnie z pracy rąk, z dnia na dzień, jest dotąd niezbędnym, niczym zastąpić się nie dającym społecznym żywiółem, a rozwój spo-

leczny i kulturowy stoi do pewnego stopnia w nieuniknionej zawisłości od niego. Stanowią robotnicy te koła, tryby i ogniwa w społecznej maszynie, bez których mechanicznej pracy cała machina by stanęła i położyła koniec tym wszystkim objawom społecznego życia, które nie tylko nas przepełniają podziwieniem najwyższemu, ale nas i podnoszą i torują drogę do dopięcia najwyższych i najwznioślejszych naszych celów. Jest więc słusznym, a nawet więcej, jest rozrocznym, aby się społeczeństwo potroszczyło o utrzymanie tych kół, trybów i ogniwa w takim stanie, w którymby zdolne były do spełniania swojego twardego społecznego przeznaczenia, — aby te surowe fizyczne siły utrzymane były w całej pełni swęj udolności do pracy. Pokarm zdrowy i dostateczny jest jedną z najważniejszych podstaw istnienia i utrzymania tych sił. Jest więc najważniejszym obowiązkiem społeczeństwa, już to przez wzgląd na własną pomysłowość, aby ów pokarm im dostawić, a ku temu nie ma środka odpowiedniejszego jak tania kuchnia. Dla tego też w Paryżu istniały już dawno osobne i tanie kuchnie dla robotników pewnych dzielnic miasta, chociaż nie ze wszystkim na tych podstawach, na których u nas starano się je założyć. Tego rodzaju kuchniami pokrywa się obecnie n. c. y. W Warszawie istnieją kuchnie, w których w ostatnim roku wydano około 3 miliona, a około 200 milionów małych porcji. W Wroclawiu istnieje 2. Monachium, Hamburg, Graz zaprowadziły je z powodzeniem, a w Wiedniu zajmują się obecnie ich urządzeniem, pojmując dokładnie całe wysokie ich znaczenie społeczne.

Móglby nam ktoś zarzucić, że pilny, pracowity i zdolny robotnik może zawsze tyle zarobić, ile

mu potrzeba do zaspokojenia wszystkich swoich potrzeb, tak, iż społeczeństwo nie potrzebuje się o niego specjalnie troszczyć, i w tym kierunku osóbnio rozwijać swą działalność. Zdanie to ma tylko pozór słuszności za sobą, i nie trudno byłoby nam zbić je i historycznie i statystycznie i teoretycznie, gdyby tu było miejsce po temu i wykazać jak najdowodniej, że społeczność dbając o robotnika, dba tylko o samego siebie i wła-

lub osłabienie udolności owych rąk. Otóż w tym względzie nie działa nie tak szkodliwie, jak niedostateczność lub niezdrowość pokarmu. Przekupnie, którzy sztucznie podnoszą ceny niezbędnych żywności, którzy je fałszują lub na wadze oszukują, należą do najszkodliwszych elementów społeczeństwa, szkodliwszych od złodziejstwa i rozboju, bo te dotyczą tylko pojedyncze osoby, fałszowanie zaś żywności i oszustwo spro-

wadza zgnębę ty sięcy. W skutek niedostatecznego pokarmu upadają siły twórcze człowieka, osłabia się w nim odporna siła organizmu na działanie zewnętrznych czynników, wyradzają się choroby, rozprzestrzeniają zabójcze epidemie i wzrastają w niszczącą potęgę, przez co się stają zjadliwsze i zgubniejsze nawet dla tych klas ludności, które w najlepszych żyjących warunkach i niedostatku nie cierpią. I ztąd to pochodzi, że nie tylko w zwyczajnych stosunkach, ale jeszcze więcej w czasach powszechnego niedostatku i głodu lub panujących zgubnych epidemij tanie kuchnie należą do najpotężniejszych środków, zapobiegających zgubnym skutkom.

Jesli pokarm jest niedostatecznym dla człowieka, to jest nie pokrywa nieuniknionych strat jego organizmu, człowiek chwytając się zwykle tych środków, które albo uczucie głodu przytępią, albo też zużycie organicznej materii ograniczają. Środkami tego rodzaju są, jakieśmy to w yżej

nadmienili, kawa, herbata, tytoń, napoje wyskokowe i t. p. To przytępienie uczucia głodu lub też ograniczenie zużycia organicznej materii, nie przyczynia się zaś wcale do zwiększenia produkcyjnych sił, owszem, sprowadza zawsze zmniejszenie udolności do pracy i zwiększa usposobienie do rozmaitych chorób. Przymierzanie pewnej kategorii tych środków, mia-



OBRAZ Ś. WOJCIECHA W KOŚCIELE W CHOCHOŁOWIE. Rysował W. Eliaz.

(patrz opis Nr. 97).

nie klasy posiadające najwyższe ztąd odnoszą korzyści. Zmuszeni jednak jesteśmy zwrócić uwagę jeszcze na niektóre momenta, które dla naszego celu niemałe mają znaczenie. Biorąc ten fakt za podstawę, że wielkość produkcji zawisa i od ilości i od tanioci pracujących rąk, nietrudno pojąć, że wszystko musi działać szkodliwie na tę produkcję, co tylko działa na zmniejszenie

nowicie wysokowych, prowadzi do zupełnego rozstrojenia organizmu i do wytworzenia się nałogów, które się bardzo łatwo stają powszechnymi, i powodując zniszczenie jednostki, równocześnie gubią rodziny, rozkładają społeczeństwa, zniechęcają, znikczemiają rasę i w społeczeństwo wprowadzają rozprężenie i upadek. Wszelkie środki przeciwko pijaństwu okazały się dotąd bezskutecznymi, jeśli im nie towarzyszyło staranie o dostarczenie dotkniętej nim ludności innych niezbędnych warunków życia, przede wszystkim zaś dostatecznej i zdrowej żywności.

Jakkolwiek niemało ważną jest ta usługa, którą tania kuchnia społeczeństwu oddać jest zdolna, czyniąc zadość życiowej potrzebie wżwyż przytoczonych społecznych warstw, nabiera ona jeszcze większej wagi, jeśli zwrócimy nasz wzrok na inne jeszcze społeczne żywioły, dla których tania kuchnia może się stać dobrodziejstwem, i tęp samym przyczynić do usunięcia jednej z bardzo ważnych przyczyn nader dotkliwych klęsk dla społeczeństwa. W obecnej chwili wszystkie społeczeństwa podlegają głębokim, wewnętrznym przeobrażeniom, a ruch ten łamiąc i druzgocąc dawne społeczne formy, które za nadto stały się jednostronne i stężale, by się mogły dobrowolnie poddać nieprzewidywanemu naporowi nowego życia strumienia, zradza liczne ofiary, którym społeczeństwo winno jednakowoż do pewnego stopnia opiekę. Dla nich, skołatanych walką życiową, w której i zbawioną nawet, i przeszłość całą i nadzieję polepszenia losu nawet postradali, i zaledwie kilka okruców z niej z tej powodzi uratowali, tania kuchnia niezmiernie byłaby dobrodziejstwem, dostarczając im przynajmniej zdrowy i wystarczający pokarm. Społeczeństwo winno również opiekę owym tysiącom kobiet, które pod wpływem srogięj i nieubłaganej życia walki, pozbawione są możliwości osiągnięcia swego przeznaczenia, to jest znalezienia we własnym rodzinnym ognisku prawowitej istnienia podstawy, i które społeczeństwo skazuje niejako na śmierć głodową albo na nieszczęśliwe ofiary rozuzdanej rozpusty i hańby, na kapłanki moralnego skalania, obyczajowej zarazy, rozkładającej społeczność i fizycznego wyniszczenia, znikczemiającego ludzkiego rodu, przez to, że wynagradza ich mozołną i krwawą robotę jak najlichszą, najnieodstateczniejszą płacą, ogranicza przycem urągowskimi i odmówieniem wszelkiej skutecznej pomocy, a nawet niecnem ich wyzyskiwaniem dziedzinę ich zatrudnień. Dla nich to również tania kuchnia, odpowiednio poprowadzona, byłaby stanowczem i zbawionem dobrodziejstwem. Społeczeństwu niewolno nakoniec zostawić bez podpory i owe liczne zastępy młodych ludzi, których przeznaczeniem własną pracą zdobyć sobie nieodzowną podstawę swego ziemskiego bytu i rozwoju, i którzy rzucają się w tym celu z podziwienia godnym zapalem i zaparciem do rozwinięcia i wykształcenia swoich zdolności w najrozmaitszych kierunkach ludzkiej działalności. Społeczeństwo tęp więcej ich na oku mieć powinno, że na nich spoczywa cała jego przyszłość i szeregi ich mają zapelnąć ubytki, które zużycie i śmierć w nim spowodowała, zastąpić i spotęgować te twórcze siły, które walka życia tera i zniszczy. W prostym robotniku i wyrobniku społeczeństwo ochrania fizyczną siłę, nieodzowną do własnego jego istnienia i rozwoju, w młodzieży, bez względu na to na jakim polu ona jest czynną, inteligencyą do większego lub mniejszego dążącą do rozwoju, przeznaczoną do kierownictwa owymi surowymi siłami i natchnieniami ich twórczością; a czyniąc to

spełnia jedynie swój obowiązek względem wszystkich powyższych wymienionych społecznych żywiołów i spłaca względem nich dług naświetszy, nigdy nieprzedawniony, starając się o wynagrodzenie im choć w cząsteczce tego, co im wydarła fatalna konieczność kulturowego postępu i zwyciężkiego ludzkości pochodku ku osiągnięciu swego przeznaczenia.

Nie jeden pokiwa może z uśmiechem powątpiewania głową i ze zdziwieniem zapyta, jaki tu związek między tanią kuchnią, a owym społeczeństwem obowiązkami? albo przynajmniej, czy ten środek nie za nadto niekzemny dla spełnienia tak wysokiego celu? Otóż na to odpowiadamy, że nie! Pokarm odpowiedni, zdrowy i dostateczny, to siła, to zdrowie, to ufność w siebie i nadzieja, to twórczość! Ludność skarłowaciała, wycieńczona niedostatkiem, trawiona najrozmaitszymi chorobami, których najobfitszym źródłem niestosowność i brak (dostatecznego jada i napoju) nie zaświeciła ludzkości nigdy gwiazdą przewodnią na drodze postępu, rozwoju i szczęścia.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA

Poznań w listopadzie 1872 r.

Po długo pięknej, ciepłej i pogodnej porze jeiennej, zaczynamy przecie od dni kilku przekonywać się dotykalnie, że nasz klimat nie zmienił się na włoski, i że w niedostatku powycinanych i wytrzebionych u nas lasów, a żyjącego już tylko u nas w powieściowych tradycjach ich drzewa, nie pozostaje nic innego, jak udać się do łaski praktycznego Górnego Szlązka i zaczerpnąć ocieplającego żywiołu z jego nieprzebranych skarbów kamiennego węgla. Poczciwy Górny Szląz! Żywi nas i ogrzewa swym węglem, teraz zaś, nie dość na tęp, poczyna dla nas Poznańczyków, nabierać nowego, podwójnego interesu, dzięki starożytniej prawdzie *solamen miseris socios habuisse malorum*. Przedłużający się żywot elementu słowiańskiego w tym poczciwym kraju, który nie pamiętając i nie mając powodu pamiętać swych zniemczonych Piastów, waha się ciągle w dylemacie swych dziejowych bohaterów między Fryderykiem W. a Maryą Teresą, lub między pierwszym lepszym pruskim generałem a feldmarszałkiem austriackim, — żywot ów elementu słowiańskiego zaczyna niepokoić, drażnić inicierpliwic na przemian cywilizacyą germańską. W interesie cywilizacyi i postępu wykładają okólniki ministerjalne i artykuły czasopism niemieckich konieczność usunięcia języka będącego z jednej strony tylko środkiem porozumienia masonskiego między czarną ultramontanią i ciemnym ludem, z drugiej zaważą do przyjęcia dobrodziejstw narodowo-liberalnej oświaty. Wtorując zaś temu zainicyonowanemu z góry prądowi rozporządzają uchwały regencyi opolskiej i innych władz wykonawczych na Górnym Szlązku, aby wskazać na powolną asfixyą miejscowy język ludności, aby go usunąć ze szkoły ludowej, aby go nie uczyć wcale i nie używać w elementarnych szkołach, w których na stu uczniów, choćby tylko dwudziestu pięciu reprezentuje narodowość germańską. *Solamen miseris socios habuisse malorum*, powiedzieliśmy wyżej i powtarzamy tu raz jeszcze. Równocześnie, kiedy, nie mogąc czy nie chcąc inaczej, przypominają w ten sposób choćby tylko Górne. mu Szlązkowi początek i pochodzenie słowiańskie, — zarządzają i u nas, na naszej poznańskiej widowni równolegle środki przeciw temu same-

mu żywiołowi. Przez ciąg ubiegłej wiosny i ubiegłego lata nastąpił istnie Mieczysławowy chrzest starodawnych nazw naszych miejscowości. Zna- ne w historii, geografii miejscowej, w praktyce sądowej i administracyjnej miana naszych wsi i wiosek zaczęły na mocy oficjalnych rozporządzeń ustępować różnym Sedanom, Weisburgom, Würthom, Forbachom, Saarbrückenom, Paulsdorfom, Bismarksdorfom, jakich, ku męce i torturze języka biednych naszych chłopów, namnożyło się u nas dzięki wrażeniom i reminiscencyom wojny francuskiej, istnie jak grzybów po deszczu. W dobroczynnym tęp zapewne zamiarze ułatwienia im przytrudnego dzieła, odbyła się w ostatnich dniach miesiąca października konferencya różnych pedagogów i urzędników administracyjnych, która zapatrując się jako na pierwowzór, na uchwały organizacyi opolskiej, uchwaliła ze swęj strony i przedstawiła ministerstwu oświecenia do przyjęcia projekt wielce podobny owemu górno-szlązkowskiemu. Podobnie jak na Górnym Szlązku, ma i w poznańskim szkola ludowa uleść germanizacyjnej metamorfozie, zależeć w kwestyi języka wykładowego od różnych narodowościowych procentów, nie zależnych naturalnie od czasu zniesienia w Prusach kar przeciw lichwie, od parafiańskiej, starościskiej pięcio-procentowej stopy, a za najpraktyczniejszy środek dojścia do pożądanego celu uznała owa konferencya niemiecką rozmowę nauczyciela z wiejskim dzieckiem, które jej nigdy w domu nie słyszało. Czas i dobra wola w połączeniu z owym delikatnym naciskiem, „*lesen druck*,” o którego zastosowaniu względem południowych Niemiec ze strony północnych mówił owego czasu z takim powodzeniem dzisiejszy książe kanclerz, — mają według nadziei czy kombinacyi owę konferencyę sprawić cud, iż dziecko wiejskie wchodzące do szkoły ze znajomością pa- ciera *Ojciec nasz* i nabożnej pieśni *Kiedy ranne wstają zorze*, wyjdzie z niej po trzech latach z dokładną znajomością *Vater unser* i będzie umiało wybornie śpiewać *Die Wacht am Rhein*... Otóż co robi naszego poznańskiego chłopca socyuszem chłopca górno-szlązkiego.

Wracając do przedmiotu, z którego wyszliśmy a od którego nas górno-szlązki węgiel w inne nieco odwiódł sfery, — do smutniejszej jesieni a rozpoczynającej się zimy, zauważylibyśmy przede wszystkim, że jak zwykle o tęp porze, z długimi wieczorami i mglistą atmosferą, rozpoczyna się u nas żywszy i zabieglejszy ruch naszego towarzyskiego, naukowego i literackiego życia, odpowiednio naturalnie do małych rozmiarów szeszupłej naszej widowni. Nasamprzód należy się ta wzmianka naszemu *Towarzystwu Przemysłowemu*, które obudziwszy i zjednoczywszy w pewną organiczną całość żywioł rzemieślniczy i mały przemysłowy, żywioł, który będzie niedawno temu jeszcze najzupełniej leżał odłogiem, krząta się teraz pilnie i zabiegle, aby drogą odbywających się co tydzień w zimowym półroczu odczytów, szerzyć światło i po za granicami chlebowego czy fachowego zatrudnienia swych członków. Rozpoczął szereg owych odczytów wykładem *O machinie do szycia* profesor Szafarkiewicz; inny miał następnie odczyt *O telegrafach*; na dalszym porządku dziennym zapisane przedmioty z dziedziny naukowej, z poladziejów i literatury, które w ten sposób uzupełnią logicznie cykl owych wykładów, rozpoczynających się racjonalnie techniką, by następnie prowadzić ową publiczność wyżej i dalej.... W podobny mniej więcej sposób urządza literackie i naukowe wieczory tutejsze *Kolo towarzyskie* w Bazarze, które przez dwa lata przeszło odpo-

czywało najzupełniej na tém polu. Postanowienie przerwy tego spoczynku uważamy za rzecz tém bardziej pochwały godną i zatem większe obiecującą korzyści, iż w latach dawniejszych mieliśmy częstokroć sposobność słyszeć o tém właśnie towarzystwie wykłady pełne rozmaitości i naukowej wartości ze strony ludzi zapisa-nych, jak na naszą małą widownię, zaszczytnie w liście różnych naukowych zatrudnień i zawodów. Wykłady w Bazarowem Kole towarzyskim nie będą, jak bardzo naturalnie, dotyczyły dziedziny technicznej, zwróca się raczej ze względu na swoją publiczność, na pole historii, literatury, być może, iż także nauk przyrodzonych.

Pośród tego ruchu naszych stowarzyszeń, pośród tych wykładów, wieców, szkół wieczornych istnieje jedno tylko towarzystwo, o którym, że nie próżnuje, przekonywają bijące co wieczór, aż w późną noc rześnistym światłem na krańczonej naszej Alei okna. Jest niem tak zwana *re-sursa*, *ulgo* klub szlachecki, mający swą rezydencją w byłym Hotelu Bawarskim naprzeciw poczty. Co się tam dzieje, jakie odprawiają tajemnice eleuzyńskie niewiadomo profanom, tyle tylko pewna, że szanowne grono nie zgrzeszyło dotąd ani jedną prelekcyą, ani żadnym znakiem i objawem życia, któryby przechodził zielony kwadrat francuzkiego bilardu i przepisany cykl partyi preferansowych... Z nastającym zimowym półroczem widzimy też ku wielkiej pociesze naszej rozwijające i *Towarzystwo Przyjaciół Nauk* poznańskie coraz to widoczniejszą czynność. Z dniem 1 Października rozpoczęły się jego przenosiny z gościny drugo i trzecio piętrowej w Bazarze do własnego domu na Młyńskiej ulicy. Dzięki troskliwości i pracowitości konserwatora p. Hieronima Feldmanowskiego, znajdują się już zbiory towarzystwa obecnie w ładzie i porządku, dozwalającym je zwiedzać i z niego korzystać. Na pierwszym pięttrze mieści się w kilku obszernych komnatach biblioteka której katalog wydrukowany już od lat kilku i znany naszej publiczności. Na pierwszym również pięttrze znajduje się salon posiedzeń wydziałów Towarzystwa, ozdobiony licznymi obrazami z zakupionych na rzecz towarzystwa zbiorów barona Rastawieckiego. Między innymi znajdują się tu olejne portrety Stanisława Augusta, Augustów II i III, Stanisława Leszczyńskiego, Karola XII, arcybiskupa Hołowczyca, Abrahama Sterna, obraz przedstawiający bitwę Raszyńską. Zbiory archeologiczne i małe muzeum wydziału nauk przyrodzonych, znajdują się pomieszczone w komnatach dolnych. Znadziejciem wiosny rozpocznie się przebudowanie i rozszerzenie gmachu *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*. Mianowicie ma być przybudowany lokal przeznaczony na galerię obrazów i pracownię malarską. Co się tyczy prac i posiedzeń Towarzystwa od dnia jego szczęśliwych przenosin, zasługuje przedewszystkiem na wzmiankę fakt, iż nowy tom *Roczników* znajduje się pod prasą i ujrzy zapewne światło dzienne w pierwszych dniach przyszłego roku. Posiedzeń zaś odbył dotąd wydział nauk historyczno-moralnych dwa, z których pierwsze zajął odczyt rozprawy *O udziale Austrii w dziele ustawy z dnia 3 Maja*, drugie rozbiór pracy nadesłanej w skutku konkursu oryginalnego na rozprawę *O Koperniku*, z powodu czterechsetnej rocznicy jego urodzenia, zasługuje przy tej sposobności na uwagę i uznanie udział, jaki bierze w tej sprawie znany i znakomity uczonec francuzki, P. Flammarion, który z powodu owej uroczystości Kopernikowej wszedł w korespondencję z naszym

Towarzystwem Przyjaciół Nauk i napisał rozprawę odpierającą nie bez pewnego charakterystycznego nacisku i akcentu pretensją Niemców do posiadania naszego wielkiego astronoma. Na témże samém posiedzeniu wzięto pod rozwagę sprawę autentyczności tak zwanych kamieni Mikorzynskich. Kamienie te znalezione we wsi Mikorzynie pod Kępem w W. Księstwie Poznańskim, odesłane w r. 1859 do Krakowa i znajdujące się obecnie w zbiorach tamtejszego Towarzystwa Naukowego, nosiły na sobie runiczne napisy, które różni różnie odczytywali. Teraz powstały różne, choć jak się zdaje, weale nie uzasadnione powątpiewania co do autentyczności owych kamieni i znajdujących się na nich napisów. W celu usunięcia owych wątpliwości i stwierdzenia autentyczności, postanowiono, by Komisyja tutejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w porozumieniu i połączeniu z Komisyją Towarzystwa Naukowego Krakowskiego zjechały na miejsce i wydały nareszcie w tej spornej sprawie ostateczny wyrok. Kończąc naszą wzmiankę o sprawach i kolejach naszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, winniśmy jeszcze dla dokładności zapisać w kronice naszej; iż w miejsce dotychczasowego zasłużonego wielce około powodzenia Towarzystwa P. Stanisława Kozmiana, który się na lat kilka wyprowadził do Dreżna,—wybrał wydział nauk historyczno-moralnych swym przewodniczącym, zacnego weterana p. Leona Śmitkowskiego.

Pozostając w dziedzinie spraw i rzeczy naukowych, zapisujemy także w sprawozdaniu naszym poznańskim do pisma waszego, fakt aukcji pięknej, zasobnej w prawdziwe białe kruki bibliografii polskiej, liczącej przeszło 5,000 tomów biblioteki po zmarłym księdzu Prusinowskim. Aukcyja ta odbywała się tutaj w domu na Ogrodowej ulicy przez dni kilka począwszy od 4 Listopada. Przy żywym bardzo udziale osobistości jak, Jana hr. Działyńskiego, Augusta hr. Cieszkowskiego, księgarza Żupańskiego, pełnomocników Biblioteki Ordynacji Krasieńskich, nie wspominając o antykwaryach i amatorach *minorum gentium*, poszły ceny wystawionych na licytację książek niezmiernie wysoko. Sławny np. w bibliografii naszej jako pomnik najdawniejszego druku polskiego *Żywot Jezusa Chrystusa Baltazara Opecia* z r. 1522, poszedł za cenę 380 tal.

W ciągu ubiegłych kilku tygodni wyszło też nakładem księgarni Żupańskiego po większej części kilka nowości zasługujących na uwagę naszego przeglądu. Nasamprzód zaliczyć do nich należy pierwszy tom *Panteonu wiedzy ludzkiej* Bronisława Trentowskiego. Jest to początek zbioru wszystkich pośmiertnych nieogłoszonych dotąd drukiem pism zmarłego naszego filozofa. Wyszło następnie nakładem tejże samej księgarni dziełko znanego wrocławskiego badacza p. Augusta Mosbacha, pod tytułem *Początki unii Lubelskiej*. Jest to sumiennie pracowicie zestawione, źródłowo opracowane opowiadanie całego pasma wydarzeń przygotowujących fakt unii Lubelskiej z r. 1569, począwszy od ślubu Władysława Jagiełły z Jadwigą, skończywszy na sejmie Piotrkowskim za Zygmunta Augusta r. 1551. Na czém może zbywa temu zkadinać pełnej wartości dziełku, to na wdzięku i potoczności opowiadania. Wydał też wreszcie Żupański jako 11-sy tom ogłaszanych przez się od lat kilku Pamiętników XVIII wieku, trzeci tom polskiego przekładu Pamiętników Michała Ogińskiego. Tom tenże zawiera wspomnienia autora z pamiętnych lat 1811 i 1812.

LITERATURA ZAGRANICZNA.

Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 97).

Les problèmes du XIX siècle, par Paul Janet.—Paris, 1872.

I w samej rzeczy, metafizyka musi być narażoną na podobne złudzenia, skoro zastajemy ją dziś jeszcze w stanie takiego samego chaosu i niepewności, w jakim była u swego początku przed dwudziestu kilku wiekami. Dla odróżnienia traktatów swych o najbardziej oderwanych przedmiotach myśli ludzkiej, Arystoteles oznaczył je nadpisem, *Tu meta ta physica* (to co się ma czytać po traktacie o fizyce); a więc było to coś ze sfer po za naturalnych: tu pomieszczyły się tedy—czas i przestrzeń, byt i istota rzeczy, duch ludzki i Bóg. W następstwie czasów badanie tych przedmiotów wyrodziło aż cztery systematy główne (nie mówiąc już o pobocznych): mistycyzm, sceptycyzm, sensualizm i idealizm,—systematy jedno niby mające zadanie a wręcz sobie przeciwne, a dumne i uparte, z których każdy sobie tylko przypisuje trafność. Gdyby nie złudzenia, gdyby większa łatwość w znalezieniu sprawdzianu, metafizyka przy tylu wielkich a niezmiernie ścisłych umysłach jakie się nią zajmowały, byłaby już trafiła na właściwą sobie metodę, tak jak trafiły na nią nauki przyrodnicze, i byłaby się stała już umiejętnością ścisłą, którąby trzeba było udokładniać, uzupełniać, rozszerzać. Nie trafiwszy na metodę (niektórzy powiadają że nie trafi nigdy), do umiejętności ścisłych zaliczać się nie może.

Otoż najgłówniejszym tematem książki p. Janeta jest uzasadnić duchowość w naturze człowieka, a zarazem pożytek i potrzebę nieustannego zajmowania się wykształceniem metody metafizycznej, tak iżby przedmiot ten stanął niezależnie i samodzielnie pod nazwą filozofii pomiędzy umiejętnością eksperymentalną a religią.

Nie jest to zatem żaden pomysł nowy, gdyż dotąd mianem filozofii nieco innego nazywano, tylko doszukiwanie się powszechnej zasady bytu, pod którą dalyby się podciągnąć wszystkie zjawiska świata fizycznego i moralnego. Ani też p. Janet nie występuje tu ze stanowczym i wyczerpującym programem filozoficznym ale, krytykuje raczej systematy dotychczasowe, wskazuje braki ich i niedokładności; dowodząc wszelako, że żadne z zadań dziewiętnastego wieku, polityczne, literackie, socyalne i religijne, zarówno jak i filozoficzne, ostatecznie rozstrzygnięciem nie jest. Stanowi to pewną dla metafizyki pociechę, że ta w tak gwałtowny sposób wypierana ze swych stanowisk przez naukę pozytywną, może jednak powiedzieć: położenie moje nie jest dotąd ani straconém ani rozpaczliwém w obec całego ruchu umysłowego, skoro i inne ważne zadania, lubo tylu podlegające wątpliwościom, nie tracą nic przecież na swęj żywotności.

Jakież bowiem jest stanowisko metafizyki względnie do nauk fizycznych, szczegółowo na przykład do biologii, która wedle systemu pozytywnego, jedynie zdolną jest dać odpowiedź w kwestyi dotyczącej życia w ogóle, a człowieka w szczególności?... Ażeby wyjaśnić sobie to stanowisko, stresmy pojęcia o zjawiskach życia wypowiedziane przez Klaudyusza Bernarda, w sławném jego dziele p. t. *Wstęp do medycyny doświadczalnej*, które p. Janet w książce swęj rozbiiera.

Według tego fizyologa, nic nie dzieje się w porządku fizyologicznym bez jakiegoś warunku poprzedniego, ściśle określonego, który i sam również musi być związany z warunkiem poprzednim: i tak od warunku do warunku, przechodzimy za każdym razem do jakiegoś podbudzenia zewnętrznego, czyli do objawu fizykochemicznego, bez którego nie może powstać żaden objaw życiowy. Jest tedy w naturze pewien objaw życiowy, ale taki który nie ma w sobie samym bezwzględnie początku i chociaż nawet wydaje się nam z pozoru zgoła niezależnym, nie jest niezależnym w rzeczywistości, lecz istnieje tylko w moc warunków fizykochemicznych zewnętrznych lub wewnętrznych, bez których machina zatrzymuje się, psuje, umiera.

Taka jest ogólna idea wyobrażająca zasadę życia, według najnowszej fizjologii, i nie mamy żadnego powodu idei tej nie przyjąć: raz dla braku dostatecznej kompetencji do odrzucenia jej; powtóre, że ona zdaje się odpowiadać zasadom prawdziwym, a w szczególności sławnej zasadzie przyczyny wystarczającej czyli określającej. Tym sposobem objaw, którego przyczyny nie moglibyśmy wskazać, byłby wynikiem czystego przypadku. Nie dość nawet jest przypuścić przyczynę bylejaką, siłę czynną, własność utajoną; potrzeba ażeby przyczyna ta, własność ta, była powołaną do działania wskutek jakiejś innej przyczyny szczególnej, jakiegoś warunku poprzedniego i ściśle określonego. Ta nadto idea życia godzi się z tym wielkim prawem, przez wszystkich metafizyków przyjętym: że fakt niższy, jest warunkiem podstawowym faktu wyższego. Tak tedy siły fizykochemiczne potrzebne są dla odżywiania, odżywianie dla uczucia, uczucie dla inteligencji: czyli, że nie rozwinięta żadna nowa siła, jeżeli nie będzie wyzwaną przez siły niższe.

Dwa są zatem w idei tej podstawowe prawa: pierwsze, że wszystkie objawy życiowe połączone są z sobą w sposób ściśle określony;—drugie, że same łączą się pobudkami fizykochemicznymi. Cokolwiek by o tem w duchu chcieli trzymać metafizycy, jakkolwiek przyjęliby system, prawa te stoją niewzruszone i starczą do wytworzenia umiejętności. Pozytywista z góry zapowiada, że nie wdaje się w szukanie przyczyny pierwszej i bezwzględnej: on w postępie racjonalnym poszukuje wciąż przyczyn drugich i względnych, tak więc sprawa fizjologii wychodzi zwyczajnie i cało, a fizjolog może się na tym punkcie zatrzymać. Czy jest czy nie jest wreszcie jakaś tam siła życiowa, to go nie obchodzi, w niczem to nie zmienia jego poszukiwań.

Ale inaczej rzecz się ma z metafizyką.

Jakoż w życie jest poniekąd węzłem zadania jakie świat nam przedstawia; ono bowiem z jednej strony styka się z materią w ogólności, z drugiej styka się z uczuciem i myślą. Z jednej strony życie to objawia się tylko w materii, i to w materii, której pierwiastki oddzielone chemicznie, są zupełnie też same co w materii martwej. Związana ona jest z siłami fizycznymi i chemicznymi, działającymi w ustroju według tychże samych praw jak w ciałach nieustrojowych; tak dalece, że najważniejsze

nawet sprawy jak oddychanie, trawienie i wydzielanie, są w znacznej części czynnościami chemicznymi. Z drugiej znowu strony, życie łączy się z istotnością myślącą, czującą, chcącą: gdyż umysł ściśle połączony jest z uczuciem, uczucie z kolei ściśle łączy się z ustrojem żyjącym, którego ono według fizjologów jest jednym z najważniejszych przymiotów.

Życie tedy ważne zajmuje miejsce na skali materii i niezmiernie komplikuje już samą przez się zawiłą kwestyę duszy i ciała. Filozof wzięwszy z jednej strony kawałek głazu, z drugiej wielką myśl, wielkie uczucie, lub jakiś znakomity czyn enoty, bez żadnej trudności udowodni że objawy te nie są zgodne z naturą głazu. Lecz gdy idąc stopniowo, wzniesie się od kruszcu do rośliny, od rośliny do zwierzęcia, od zwierzęcia do człowieka; gdy od czynności chemicznej przejdzie do czynności życiowej, a od tej do pracy psychicznej, gdy nareszcie zauważy, iż między życiem nieświadomym a świadomym i nawzajem odbywa się ruch nieustanny, w nieznacznych a ciągłych przejściach; wtedy mimo woli przyjdzie mu na myśl zapytanie, na czem to między duszą myślącą a materią martwą polega ten pośredni czynnik, który łącząc jedną z drugą, a nie mogąc oddzielić się od drugiej, jest tu na ziemi nieodzownym warunkiem pierwszej?

Niech tam jak chcą przyjmą to zdanie przeciwnicy nadmysłowości, ale jest to rzeczą pewną że dotychczas hipoteza *siły życiowej*, od sił fizykochemicznych różnej, zdaje się dosyć mocno opierać wszystkim przeciw niej wymierzonym zarzutom; a największe poparcie jej znajdujemy w jednym z najpotężniejszych koryfuszów metody przyczyn bezpośrednich, w Klaudyuszu Bernardzie.

We wspomnianem przez nas dziele pod względem możliwego sprowadzenia wszystkich objawów życiowych do spraw fizykochemicznych, uczony ten twierdzi, że siły fizyczne i chemiczne są tylko warunkami objawów życiowych, ale istoty ich nie stanowią. Odżywianie odbywa się wprawdzie w zwierzęciu jedynie za pośrednictwem objawów fizykochemicznych, ale w istocie swój nie jest ono objawem tego rodzaju. Jeżeli zgodzimy się na prawo wskazane wyżej, że w naturze porządek niższy jest warunkiem wyższego, to niezadziwi nas wcale iż życie, związane ściśle z warunkami mechanicznymi, nie redukuje się jednak do prostego mechanizmu, tak samo jak myśl, związana z faktami fizyologicznymi i ustrojowymi, nie jest przez to w sobie samą i w istocie swój faktem organicznym i fizyologicznym.

Sam wreszcie uczony ten wykazuje charakterystyczny fakt, oddzielając w sposób najbardziej stanowczy ciała martwe od żywych i nie waha się użyć tego tak zdyskredytowanego wyrażenia *siły życiowej*. Nie pominął tej sławnej stronicy p. Janet i przytacza ją w swój książce.—„Co jest istotną własnością dziedziny życia,—powiada wielki fizjolog, co nie należy ani do chemii, ani do fizyki, ani do czegobądź innego, to *kie-rownicza idea życiowego rozwoju* (idée directrice de l'évolution vitale). W każdym żyjącym zarodku jest idea twórcza która rozwija się i obja-

wia przez ustrój. Przez cały przeciąg swego trwania, istota żyjąca pozostaje pod wpływem tej samej *siły życiowej* twórczej, a śmierć przychodzi wtedy kiedy ona już się nie może iść. Wszystko bierze początek od tej idei która sama kieruje i tworzy; te sposoby objawiania się fizykochemiczne wspólne są wszystkim zjawiskom natury i mieszają się bezładnie jak głoski abecadła w pudełku; ta to dopiero siła wyszukuje ich tam i wyraża przez nie najrozmaitsze myśli,—najrozmaitsze mechanizmy.”

Czemżeż jest to zdanie jeśli nie potwierdzeniem tego o czem właśnie mówią metafizycy, ideę tę nazywając zasadą przyczyn ostatecznych; i czegoż to dowodzi, jeśli nie tego, że w istotach żyjących jest jakaś przynajmniej siła pierwotna, początkowa, która się nie sprowadza do sił fizycznych i chemicznych, i nie nie wróży by się kiedykolwiek sprowadziła. (d. c. n.)

Ruiny zamku Lidzkiego.

Jedną z nader starożytnych sadyb litewskich jest Lida wraz z obronnym zamkiem wzniesionym na kresach dawniej Litwy właściwej i Rusi litewskiej. W epoce urzędowania kraju, wedle zasad feodalnych, Lida stała się rezydencją udzielnego księstwa, nabierając poczesnego znaczenia w historii. Zamek tutejszy którego ruiny przedstawiamy na str. 914 naszego pisma, wybudował w miejsce drewnianego Gedymin w r. 1323 w którym następnie rezydowali, jako panujący książęta Olgerd; syn jego Jagiełło, a ostatni Witold. Zjechał tutaj następnie król Władysław Jagiełło po ślubie z Zofią księżniczką Kijowską, gdzie bawił czas jakiś. Król Aleksander udawszy się pomimo ciężkiej choroby, na wyprawę przeciw Tatarom, a zaniemógłszy tém silniej, w zamku tamecznym dysponował się na śmierć i testament sporządził. Wreszcie zamek miejscowy oparłszy się kilkakrotnie potędze krzyżackiej i tatarskiej, w czasie powtórnego najeźdu szwedzkiego za Karola XII spalony, już więcej z upadku swego się nie podniósł. Lida dziś miasto powiatowe, leży przy trakcie pocztowym z Wilna do Grodna.

Zeszyt czternasty

ENCYKLOPEDIJI Powszechnéj

S. ORGELBRANDA

w 8-miu tomach

opuścił prasę.

Sprostowania. Nr. 93, na str. 864, szp. 2, wiersz 5 od góry, zamiast *we Francji*, czytać w *Hiszpanii*.

Nr. 94, str. 871, szp. 2, wiersz 9 od góry, zamiast *Sanses*, czytać *Sansas*. Tamże: stron. 872, szp. 2, wiersz 46 od góry, zamiast *Święte księgi Vedas*, czytać *Święte księgi Zend-Avesta*.

Treść: Ramułowie, powieść współczesna J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Obraz wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, Krupńskiego (dokończenie). — Tanie kuchnie (c. d.) — Korespondencja z Poznania. — Literatura Zagraniczna K. Kraszewskiego (c. d.) — Ruiny zamku Lidzkiego. — Ogłoszenie. — Sprostowanie. — **Ryciny:** Ruiny zamku Lidzkiego. — Obraz Ś-go Wojciecha.

Wydawca, HIPOLIT ORGELBRAND.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Ноября (5 Декабря) 1872 г.

Redaktor, MIECZYSLAW ORGELBRAND M. Pr. i Ad.